

KATOLICKI TYGODNIK ILUSTROWANY

R o d z i n a

NR 31 (109) ROK III

WARSZAWA 5. VIII. 1962

CENA 2 Zł





(Do Rzymian 8,12-17)

Bracia; nie ciała dłużnikami jesteśmy, abyśmy według ciała żyć mieli. Jeśli bowiem według ciała żyć będziecie pomrzecie! ale jeśli duchem sprawy ciała umartwiecie, żyć będziecie. Którychkolwiek bowiem ożywia duch Boży, ci są synami Bożymi. Bo nie otrzymaliście ducha niewoli znów ku bojaźni ale otrzymaliście ducha przybrania za synów i w duchu tym wołamy: Abba (Ojcze)! A sam Duch daje świadectwo duchowi naszemu, żeśmy synami Bożymi. A jeśli synami, to i dziedzicami Bożymi, a współdziedzicami Chrystusa.



(Św. Łukasz 16,1-9)

Onego czasu: Rzekł Jezus uczniom swoim tę przypowieść: Był człowiek pewien bogaty, który miał włodarza, a tego zniesławiono przed nim, jakoby trwonil dobra jego. I przywoławszy go, rzekł mu: Cóż to słyszę o tobie? Zдай sprawę z włodarstwa twego, już bowiem nie będziesz mógł włodarzyć I mówił włodarz do siebie: Co ja pocznę, gdy pan mój odejmie mi włodarstwo? Kopać nie mogę, zebrać się wstydę. Wiem co uczynię, aby gdy będę złożony z włodarstwa, przyjęli mię do domów swoich. Zwoławszy tedy z osobna dłużników pana swego powiedział pierwszemu: Ile jesteś winien panu memu? A on rzekł: Sto baryl oliwy. I powiedział doń: Weź zapis swój i siadź natychmiast, a napisz pięćdziesiąt. Potem rzekł do drugiego: A ty ileś winien? A on odpowiedział: Sto korców pszenicy. I rzekł mu: Weź zapis twój, a napisz osiemdziesiąt. I pochwalil pan przewrotnego włodarza, że roztropnie uczynil. Albowiem synowie tego świata roztropiejsi są wśród podobnych sobie niż synowie światłości. I ja wam powiadam: Czyńcie sobie przyjaciół z mamony niesprawiedliwości, aby gdy pomrzecie przyjęto was do wiecznych przybytków.

Mądrość, o której wspomina Pismo św., to odbłask Słowa Bożego, to łaska, która oświeca nasz rozum i miłość. Łaskę tę otrzymaliśmy w Kościele katolickim, w tym Domu Bożym, w którym mądrość zamieszkała (introit).

Lekcja przypomina nam, że jesteśmy dziećmi Bożymi, a Ewangelia w formie przypowieści wskazuje nam obowiązki, które stąd dla nas wypływają. Bóg, zanim uczyni nas dziedzicami nieba, daje nam tu, na ziemi możliwość używania dóbr doczesnych i duchowych. Ale skoro jak włodarz, o którym mówi Chrystus, byliśmy niewierni rozpraszać przez grzech bogactwa i zdolności, które nam Bóg powierzył, posługując się tym, co Bóg nam dal, czynimy dobrze, a przez jałmużnę zapewnimy sobie świadectwo, które biedni oddadzą dobroczyńcom, gdy wszyscy będą musieli zdać rachunek ze swoich czynów przed Boskim Sędzią.

Jałmużna, jak mówi św. Tomasz, jest to czyn, przez który będącemu w potrzebie daje się jakąś rzecz ze współczucia i ze względu na Boga (III-II, q. 32, a. 1). Jałmużna tak zdefiniowana obejmuje wszelkie dzieła miłosierdzia: uczynki co do duszy i co do ciała. Wiemy zresztą, o co chodzi: żywić pragnących, zaspokoić łaknących, przydziać biednych, przyjmować w gościnę podróżnych, chorych odwiedzać, pocieszać więźniów, grzebać umarłych.

Jałmużna czerpie całą swą wartość moralną z miłości bliźniego, a przez nią z miłości Boga, ponieważ te dwie miłości stanowią jedno. Stąd słowa kończące definicję: „Ze współczucia i ze względu na Boga”.

Już St. Testament przepisywał i zalecał jałmużnę. Stary Tobiasz — spodziewając się śmierci — zwraca się do syna w słowach które streszczają całą naukę starego Prawa odnośnie tego przedmiotu: „Czyn jałmużnę z majątności twoich, a nie odwracaj oblicza twego od żadnego ubogiego: bo tak się stanie, że i od ciebie nie odwróci się oblicze Pańskie. Jako będziesz mógł, tak bądź miłosierny. Będziesz li miał wiele — hojnie dawaj, jeśli mało będziesz miał i mało chętnie udzielać usiluj. Tak bowiem skarbisz sobie zapłatę dobrą na dzień potrzeby, bo jałmużna od wszelkiego grzechu i od śmierci wybawia, a nie dopuści duszy iść do ciemności. Jałmużna wielką ufnością będzie przed Najwyższym Bogiem wszystkim, któr y ją czynią. Lepiej jest czynić jałmużnę, aniżeli gromadzić skarby złota” (Tob. 4, 7-12; 12, 8).

A ponieważ Pan nasz, Jezus Chrystus, nie przyszedł na ziemię, aby zniszczyć stare Prawo, ale żeby je dopełnić i udoskonalić, dlatego nie trzeba się dziwić, że obowiązek jałmużny jest także wypisany w Ewangelii. Zbawiciel wprost rozkazuje dawać jałmużnę według możliwości: „Czyńcie sobie skarby — tak mówi — których czas nie niszczy... skarb niewyczerpany w niebie, gdzie złodzieje nie mają przystępu i mole nie toczą” (Łk. 11, 41; 12, 33). A żeby zaś wykazać, że ta przepisana jałmużna powinna być prawdziwym aktem miłosierdzia, mówi nam, że winniśmy sądzić, że to, co się daje biednym, daje się samemu Bogu. Zresztą przypowieści o dobrym Sama-

rytaninie, o niewiernym włodarzu, a zwłaszcza o złym bogaczu, które nieraz czytaliście i znacie je dobrze, czyż nie były wypowiedziane podobnie jak wiele innych porównań celem lepszego zrozumienia i doskonalszego wpojenia w ducha chrześcijan konieczności obowiązku jałmużny dla każdego, kto chce zbawić swą duszę?

W Ewangelii jednak znajdziemy pewną rzecz jeszcze bardziej stanowczą. Jest to opowiadanie, w którym Pan nasz ogłasza i opisuje sąd ostateczny. Przytoczmy tylko słowa potępienia, jakie skierowuje do złych bogaczy: „Tedy rzecze i tym, którzy po lewicy będą: Idźcie ode mnie przeklećci w ogień wieczny, który zgotowany jest diabłu i aniołom jego. Albowiem łaknąłem, a nie daliście mi jeść, pragnąłem, a nie daliście mi pić: byłem gościem, a nie przyjęliście mnie, nagim, a nie przyodzialiście mnie, niemocnym i w więzieniu, a nie nawiedziliście mnie. Tedy mu odpowiedzą i oni mówią: Panie, kiedyżeśmy Cię widzieli łaknącym, albo pragnącym, albo gościem, albo nagim, albo niemocnym, albo w więzieniu, a nie usłużyliśmy Tobie? Tedy im odpowie mówiąc: Zaprawdę powiadam wam, czegokolwiek nie uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, mnieście nie uczynili. I pójdą ci na mękę wieczną” (Mt. 25, 41-46). „Dziwna rzecz, woła św. Jan Chryzostom, Ewangelia nie wymienia innego punktu oskarżenia, prócz tego, tak, jakby cała surowość sądu bożego zasadzała się na tym jednym paragrafie, jakby Jezus Chrystus jako Najwyższy Sędzia przychodził na końcu świata w tym celu tylko, by potępić bogaczy za ich twardość i nieczulość względem biedaków”.

Jakże znamienne są w tym względzie słowa św. Jakuba: „Sąd bowiem bez miłosierdzia czeka tego, który miłosierdzia nie czyni” (3, 13).

Spójrzmy na czyny apostołów. Nie zadowolili się tylko pisaniami listów, żeby nie stać się jedynie echem słowa Chrystusowego, ale czuwalili nad tym, aby ono było w czyn zamienione. Pracują nad, wyrównaniem dóbr i potrzeb, urządzają uczty braterskie, gdzie wszyscy chrześcijanie są przedmiotem tych samych starań; dzieła składki pomiędzy wiernych, organizują towarzystwa dobroczynności w gminie kościelnej i powierzają diakonom troskę o biednych. Paganie, widząc życie pierwszych chrześcijan, mówili do siebie: „Popatrzcie, jak oni się miłują”.

Jakąż szkoda, że zaniechano wielu z tych praktyk w późniejszych okresach rozwoju Kościoła. Co więcej: nadmierna chęć bogacenia się Kościoła kosztem wiernego, nie zawsze zbyt zamożnego ludu stała się powodem licznych uprzedzeń do hierarchii i duchowieństwa.

Nadszedł czas, aby tym sprawom się przypatrzeć, a skoro ci, do których to należy niewiele pamiętają o miłości, jako o nauce Bożej, to niech pamiętają o niej przynajmniej chrześcijanie, wierni i niech świadczą sobie nawzajem miłosierdzie. Każdy bowiem za swe czyny odpowie przed Bogiem.

J. K. i A. N.

Mylili religijne

O RELIGII

Wszystkie religie humanistyczne są ścieżkami do Boga. Podkreślamy: tylko o religie humanistyczne, a nie religie barbarzyńskie, wojujące ogniem i mieczem, albo w inny sposób łamiące boskie prawa moralne.

Jedną z wielu ścieżek, na której postawił nas Bóg — jest polski katolicyzm. I my tą ścieżką zdążamy do Boga.

Inni ludzie, buddyści, brahmaniści, muzułmanie itd — idą innymi ścieżkami do tego samego celu wiecznego.

Wszyscy jesteśmy wędrowcami, a o naszej wartości duchowej decyduje to, jak prędko posuwamy się po naszej ścieżce, jak wielki jest nasz wysilek, który wkładamy w naszą podróż do Boga.

WŁADYSŁAW COLLEN-KOŁODZIEJ

Jeszcze pola w uroku lata.
Jeszcze ptasząt ranne świergoty.
Świat cały w uśmiechach jak w kwiatach.
Wtem — nagle przeczcucie tęsknoty.

Za latem co z wolna się kończy,
A pola już kwitną łubinem
Choć jeszcze niedawno skowronki,
Już jesień się przypomina...

Tak wszystko przemija, nie wraca
I wszystko nietrwale i kruche,
Poprzedza twój dzień każdy, praca,
Zadumaj się chwilę, posłuchaj.

Bo życie to księga odwieczna,
Więc wczytaj się pilnie w jej karty.
Gdy troska — niech będzie serdeczna,
A serce twe szczere, otwarte.

Bo ludzie przechodzą dziś mimo
Twych zmartwień i trosk — tak już bywa.
W cień dróg nie spoglądaj, przemina — —
I raczej uwierzyć w bas żywą.

Niechaj życie jak urok lata
Przetruwa w tobie ciche, spokojne.
Ze już jesień wiek twój oplata?
Spójrz: dąb już w szronach — lecz jak
dostojny

WIADOMOŚCI Z KOŚCIOŁA POWSZECHNEGO

PROTEST PRZECIWKO PRÓBOM ATOMOWYM USA

Szereg duchownych holenderskich z ks. dr van Dalen na czele złożyło na ręce posła USA w Holandii protest przeciwko wznowionym próbom nuklearnym Stanów Zjednoczonych. Protest mówi o tym, że zadaniem Kościoła jest wskazywać drogi sprawiedliwości i pokoju ze stanowiska Ewangelii. Bezwystydna amerykańska polityka wojenna, która pod rozmaitymi pretekstami wznawiała próby, wstrząsa nie tylko sumieniem świata, lecz podrywa zaufanie do tych mężów, którzy są w Ameryce u steru. W obecnej sytuacji Kościół winien śmiało przemówić — nie jutro, lecz teraz. Naród nasz czeka na mocne słowo oporu i ostrzeżenia!

Podobne stanowisko zajmuje znany matematyk, filozof i obrońca sprawy pokoju — Bertrand Russell, który już podczas pierwszej wojny światowej wystąpił przeciwko wojnie i obowiązkowi służby wojskowej. Został wtedy zwolniony ze stanowiska profesora na uniwersytecie w Cambridge (Anglia) i skazany na sześć miesięcy więzienia. 45 lat potem, we wrześniu 1961 r., tenże Russell został postawiony ponownie w stan oskarżenia, lecz po kilku dniach przebywania w więzieniu znowu zwolniony wskutek złego stanu zdrowia. Russell wzywał ogół do oporu przeciwko polityce zbrojenia atomowego. Akcja jego w „Komitecie 100“, nierozłączna z jego nazwiskiem, zwróciła na siebie uwagę ogółu Anglików. Z okazji obchodzonej niedawno 90 rocznicy urodzin, 30 posłów angielskiej Partii Pracy uczciło znanego filozofa, przy czym Russell powiedział: „Zważajcie na to, abyście też osiągnęli 90 lat. Pamiętajcie o tym, że nigdy do tych lat nie dojdziecie, jeżeli nie będziecie energicznie walczyli przeciwko wojnie atomowej”.

POMOC DLA ALGERII...

Akcja ekumeniczna pomocy dla Algierii przewiduje w swoim programie na pierwszy rok 1,4 mln dolarów. Akcją tą objętych jest przede wszystkim 2.400.000 Algierczyków znajdujących się w krajowych obozach przesiedleńczych, 600.000 mieszkańców wsi, którzy szukali ucieczki w miastach, ok. 200.000 uchodźców z Tunisu i Maroka, ok. 55.000 politycznych i innych więźniów w Algierii i Francji. Prócz tego zależni są od pomocy ekumenicznej algierscy robotnicy wędrowni, studenci w zachodniej Europie i wiele innych osób pracujących zawodowo.

...I DLA BRAZYLII

Północno-wschodnia Brazylia, licząca 25 mln mieszkańców, wykazuje największą śmiertelność wśród dzieci i nawiedzana bywa na zmianę posuchą i powodzią. Wielu mieszkańców wsi cierpi głód, zwłaszcza robotnicy rolni uświadamiają sobie coraz więcej niesprawiedliwość społeczną. Sytuacja jest „przedrewolucyjna”. Akcje pomocy roz-

poczęły organizacje kościelne europejskie i amerykańskie.

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ

Sześciuosobowa delegacja kwaków, nazywających się „Towarzystwem Przyjaciół”, niedawno przyjęta była przez prezydenta Kennedy'ego. Podczas 20-minutowej audiencji delegacja prosiła prezydenta, aby w swojej polityce zagranicznej domagał się powszechnego międzynarodowego rozbrojenia celem ustanowienia pokoju między narodami. Na kilka dni przedtem około 1000 kwaków ze wszystkich części Stanów Zjednoczonych demonstrowało przed Białym Domem w Waszyngtonie żądając rozbrojenia.

RADA EKUMENICZNA I ZWIĄZEK RADZIECKI

Delegacja czołowych współpracowników Rady Ekumenicznej bawiła niedawno w Związku Radzieckim z 12-dniową wizytą, zaproszona przez patriarchat moskiewski. Grupa ta prowadziła rozmowy na temat stosunków pomiędzy Radą Ekumeniczną i rosyjskim Kościołem prawosławnym, przyjętym w poczet członków Światowej Rady Kościołów w listopadzie 1961 roku. Od początku roku bieżącego Kościół prawosławny patriarchatu moskiewskiego ma swoich stałych przedstawicieli przy genewskiej centrali Rady Ekumenicznej. Synod Św. rosyjskiego Kościoła prawosławnego powierzył ten urząd arcykapłanowi Vitali Borowej i jego sekretarzowi Anfinagenowi.

BOMBY I PROTESTY

Patriarcha Ekumeniczny Konstantynopola energicznie zaprotestował przeciwko atakowi bombowemu, wymierzonemu przeciwko dwóm meczetom tureckim w Nikozji.

Patriarcha określił ten akt terroru jako „złośliwy i grzeszny czyn”, który słusznie wywołał „powszechne oburzenie i potępienie”. Zborowi tureckiemu na Cyprze wyraził on swoje „najgłębsze współczucie”.

Arcybiskup Makarios, prezydent Cypru, i grecki minister spraw wewnętrznych Awerow również potępił ten atak bombowy jako czyn „nieprzyjaciół Cypru, Grecji i Turcji”.

Atak dokonany został rano 26 marca. Ekstremiści założyli cztery bomby w dwóch meczetach. Eksplozja ciężko uszkodziła jeden z meczetów i m. in. także grób tureckiego patrioty Bairakdara.

Kilka dni potem odbyły się w Nikozji antygreckie demonstracje. Ekstremiści tureccy usiłowali podpalić greckie szkoły, znajdujące się na granicy greckiej i tureckiej dzielnicy miasta. Część studentów tureckich dała dowody swego przykładowego pojednawczego stanowiska, składając nazajutrz po ataku wiązanki kwiatów w kościołach chrześcijańskich, z napisem: „część dla religii — to fundament porządku demokratycznego”.

Cały świat z nieklamana radością przyjął fakt uzyskania przez Algierię niepodległości. Skończyła się brudna wojna francusko-algierska. Po 132 latach nastąpił kres epoki kolonialnej, znaczonej trupami, bezprzykładnym wyzyskiem, uprawianym przez francuskich kolonizatorów wobec Algierczyków. Biało-zielone sztandary powiewają dumnie nad miastami i osiedlami algierskimi. Na mapie politycznej świata powstało nowe 32 afrykańskie państwo, które tworzyć będzie zręby swojej państwowości.

Długo Algieria i Algierczycy leczycy będą rany powstałe w ostatnich 8 latach. Zniszczenia dokonane przez bandy OAS tuż przed wywołującym referendum, trzeba będzie długo odrabiać. Szlachetni Algierczycy gotowi są wielkodusznie przebaczyć wczorajszym mordercom, pod warunkiem dalszej lojalnej współpracy w dziele budowania potęgi niepodległej Algierii. Z ulgą przyjęła cała postępowo opinia światowa wieść, że Algieria jest krajem niepodległym, suwerennym, układającym samodzielnie swoje dziś i jutro.

Niewątpliwie wiele przeszkód stanie na drodze rozwojowej nowej republiki. Wczorajsi kolonizatorzy będą usiłowali wzniecić przeróżne konflikty i przy tej okazji piec własną, egoistyczną pieczeń.

Rozwiązanie problemu algierskiego wpłynęło uspokajająco na Francuzów. Ale spokojny ten zakłócony został wizytą bońskiego kanclerza w Paryżu. Prezydent de Gaulle powitał Adenauera jako głowę zaprzyjaźnionego państwa, mimo że Adenauer jest tylko kanclerzem NRF. Lud Francji powitał niepożądane gościa: zgniłymi jajkami i pomidorami, kartoflami i powszechnym gwizdem.

De Gaulle i Adenauer rozmawiali w „cztery oczy”.

Wizycie Adenauera towarzyszyły liczne demonstracje. Kiedy mer Paryża — Taittinger, (syn kolaboracjonisty) ścisłał u wejścia do ratusza prawicę Adenauera — kilkudziesięciu radnych z robotniczych okręgów zakłóciło to powitanie okrzykami, przypominającymi zbrodnie hitlerowskie w Oradour i w Oświęcimiu. W czasie, kiedy w wielkiej sali ratusza Paryża witano niemieckiego gościa zza Renu, grupa radnych zbrojkotowała tę uroczystość. Udali się oni do jednej z przyległych sal, gdzie pod tablicą KU CZCI zamordowanych przez hitlerowców ośmiu radnych miejskich złożono wiązanki kwiatów. A kiedy kanclerz boński zwiedzał Wersal — pod pomnikiem zamordowanych przez gestapo Żydów francuskich zebrał się tłum protestujących przeciw „pojednaniu” Francji de Gaulle'a z dzisiejszymi odwetowcami, rewizjonistami i militarystami bońskimi, których przedstawicielem jest sędziwy kanclerz Adenauer.

W rosgardiaszu minionego tygodnia, nie bez znaczenia są słowa wypowiedziane przez prezydenta USA Kennedy'ego zapowiadające proklamowanie przez Stany Zjednoczone, wspólnie z Europą zachodnią, „deklaracji o wzajemnej zależności”. Ta właśnie sprawa była m.in. przedmiotem rozmów Adenauer — de Gaulle, przy czym dominującym problemem było zagadnienie broni atomowej. Jak wiadomo de Gaulle reprezentuje pogląd, że „Francja musi mieć siłę uderzeniową. Francja nie opouje przeciw sugestiom o utworzeniu niezależnej od USA „europejskiej broni atomowej”, z tym, że w takim „europejskim” stowarzyszeniu, właśnie Francja, miałaby być jedynym posiadaczem i jedynym producentem broni atomowej. Do tej koncepcji francuskiej Adenauer wprowadza „drobną” korektę: naturalnie francuska armia powinna być wyposażona w broń nuklearną. Twierdzi, że jest rzeczą naturalną, aby współpracująca z Francją de Gaulle'a bońska Bundeswehra powinna być tak samo wyposażona, jak francuski sojusznik.

Szlakiem ostańców i jaskiń



Nie jestem zawodowym turystą, lecz z całym przekonaniem stwierdzam, że szlak Jury Krakowsko-Częstochowskiej tak pod względem turystycznym, jak i z punktu widzenia przyrodniczego należy do najciekawszych w kraju rejonów.

Wspaniałe tereny, odznaczające się malowniczością krajobrazu, liczne wąwozy przecinające lekkie wzniesienia, niezwykła różnorodność sprwadzają tu przez cały rok liczne rzesze turystów nie tylko z kraju lecz i z zagranicy. Na całej trasie pełno średniowiecznych ruin. Tereny pokryte świerkowym lasami złożyły się na fakt nazwania tej trasy „Szlakiem Orlich Gniazd”.

Wędrówka owym szlakiem zaczyna się od ulicy Długiej w Krakowie następnie ulicą Łokietka ciągnie się poprzez Ojców do Piaskowej Skały

poprzez wieś Zapasów i Przeginię do Olkusza. Stamtąd już tylko krok do Rabsztyna i Krucz, potem do Pustyni Błędowskiej. Dalej prowadzi nowa trasa przez Bydlin Smoleń i miasteczko Pilicę dochodzimy do największego punktu skalnych ostańców Ogrodzieńca, tam napatrzeni do syta na cudo renesansu — zamek zbudowany w roku 1530 idziemy do Morska, Bobolic i Mirowa, kilka kilometrów drogi i już jesteśmy w przecudnym Złotym Potoku.

Tam obowiązkowo zatrzymujemy się pod malowniczo położoną skałą zwaną D'abelskim Młynem. Wstępujemy do dworku Zygmunta Krasieńskiego. Napiwszy się wody ze źródła „Zygmunta” idziemy obejrzeć słynną skałę Twardowskiego. I znów ruszamy w dalszą wędrówkę pięknymi lasami do Zrebia, a stamtąd do

Olsztyna zahaczając o Góry Sokole. W tym miejscu warto zaznaczyć, że rejon olsztyński posiada największe po Ojcowie skupisko jaskiń.

Z racji swego dobrego powietrza i pięknego położenia Olsztyn staje się coraz bardziej popularnym miejscem wypoczynkowym. Stamtąd po przejściu Zielonej Góry pełnej ostańców i jaskiń dochodzimy do finału naszej wędrówki — Częstochowy.

Całość trasy obliczona jest na 180 km. Przebyć ją można w ciągu 14 dni. Na całej trasie znajdują się liczne stacje turystyczne zapewniające nocleg i posiłek.

Jedno jest pewne, że ten kto wędrował szlakiem krakowsko-częstochowskim, często powraca tam jeszcze, bo naprawdę opisać go trudno, to naprawdę trzeba zobaczyć.

Zb. Marski



Mówi

prof. St. Lorentz

Z okazji 100 rocznicy Muzeum Narodowego w Warszawie, zwróciliśmy się do dyrektora Muzeum p. prof. Lorentza z prośbą o udzielenie odpowiedzi na kilka pytań.

Panie Dyrektorze! Nie wszyscy zapewne wiedzą, kto był założycielem Muzeum i w jakich okolicznościach ono powstało? Czy Pan Dyrektor byłby uprzejmy coś bliżej na ten temat powiedzieć?

Muzeum Narodowe w Warszawie powstało na mocy uchwały o wychowaniu publicznym w Królestwie Polskim z dn. 20 maja 1862 r., która obejmuje całokształt spraw oświatowych i naukowych od szkolnictwa elementarnego do szkolnictwa wyższego. Inicjatorami Muzeum byli wybitni warszawscy kolekcjonerzy i działacze kulturalni oraz artyści. Można więc uważać, że Muzeum powstało z inicjatywy społecznej i miało być jednym z ważnych ogniw działalności kulturalno-oświatowej. Pierwszym dyrektorem Muzeum został kolekcjoner i miłośnik sztuki senator Justynian Karnicki.

Przez tak długi okres Muzeum zapewne przechodziło różne dzieje i to odbijało się w jakimś stopniu na jego rozwoju?

W pierwszych latach po utworzeniu, Muzeum miało szanse pomyślnego rozwoju, następnie jednak wypadki polityczne w okresie powstaniowym zahamowały niemal zupełnie działalność jego na wiele lat. Dopiero w początku wieku XX-go Muzeum wznowiło swą działalność i poczęło się bardzo rozrastać, a odzyskanie przez Polskę niepodległości pozwoliło na stworzenie z niedużej placówki lokalnej wielkiej instytucji narodowej.

Jaki okres, w ciągu tych 100 lat istnienia tak potrzebnej placówki, można uważać za najbardziej sprzyjający?

Najwspanialszy rozwój Muzeum Narodowego nastąpił w ostatnich kilkunastu latach. Zbiory nasze choć uszczuplone w czasie wojny wspaniale się rozrosły i są dziś znacznie bogatsze niż dawniej. Będzie to może bardzo powierzchowne, ale zestawienie cyfr jest bardzo wymowne. Dziś Muzeum Narodowe posiada ok. 600.000 numerów inwentarzowych, gdy przed wojną było niespełna 200.000. Działalność naukowa Muzeum rozwija się bardzo pomyślnie, a zespół pracowników naukowych i fachowych, który liczył przed wojną kilkanaście osób, dziś liczy ich przeszło sto. Akcja społeczno-oświatowa obejmuje nie tylko Warszawę, gdzie posiadamy oprócz gmachu głównego, Łazienki i Wilanów, ale też Łowicz oraz Nieborów z Arkadią, i rozciąga się na całą Polskę. Najżywsze i najtrwalsze stosunki wiążą nas z woj. olsztyńskim, a szczególnie z Lidzbarkiem. W ostatnim roku nawiązaliśmy też bliskie stosunki z instytucjami kulturalnymi na Mazowszu.

Od jak dawna Pan jest dyrektorem Muzeum?

Od 1 września 1935 r.

Czy to jest prawda, że twórcami działu sztuki starożytnej w Muzeum był Pan i p. prof. Michałowski?

Przed 25 laty, bo w r. 1937 stworzyliśmy z prof. Michałowskim dział sztuki starożytnej Muzeum Narodowego w Warszawie, który prze-



kształcił się w dzisiejszą wielką galerię sztuki starożytnej, główny zbiór w Polsce w tym zakresie. Oczywiście ta współpraca jest niewspółmierna. Mój wkład dotyczył tylko spraw organizacyjnych, gdy wkład prof. Michałowskiego prócz organizacji działu, objął ogromny zakres spraw naukowych, w tym wykopaliska w Egipcie, Sudanie, Syrii i na Krymie, które wysunęły Polskę do rzędu czołowych państw w dziedzinie badań nad starożytną kulturą w basenie śródziemnomorskim.

Dzięki odkryciom naszych archeologów ten dział pewnie ustawicznie się powiększa?

Dział corocznie się powiększa w związku z systematycznie prowadzonymi wykopaliskami. Nie tylko jednak powiększa się ale uzyskuje też coraz wspanialsze eksponaty. Ostatni rok był dla nas specjalnie pomyślny.

Czy Muzeum Warszawskie oprócz Wilanowa i Nieborowa, posiada jeszcze jakieś agendy na terenie województwa czy kraju?

Prócz Wilanowa i Nieborowa posiadamy Łazienki, a obok Nieborowa Arkadię, poza tym też Muzeum w Łowiczu, w którym ostatnio otworzyliśmy dział polskiego baroku. Natomiast nasza współ-

praca z różnymi instytucjami na terenie całego kraju opiera się o bezpośrednie porozumienie w sprawach organizacji wystaw, pomocy konserwatorskich, akcji oświatowych itd.

W związku z setną rocznicą jakie uroczystości odbywały się lub odbywają na terenie Warszawy czy kraju?

W setną rocznicę Muzeum zorganizowało wielką Wystawę Jubileuszową Sztuki Warszawy i Mazowsza od średniowiecza do połowy XX wieku, rząd włoski nadesłał nam wspaniałą Wystawę Złotnictwa Starożytnego. W ramach uroczystości stworzyliśmy właśnie w Łowiczu dział polskiego baroku, w Lidzbarku wystawę p.t. Jak rozpoznawać style, a w Reszlu „Polskie malarstwo historyczne 19 wieku“. Mieliliśmy kilkudziesięciu gości zagranicznych, dyrektorów największych muzeów świata, którzy zapoznali się z zabytkami i zbiorami Warszawy, a potem dokonali objazdu najważniejszych ośrodków kulturalno-zabytkowych w Polsce. Ostatnim aktem naszego Jubileuszu będzie otwarcie dla zwiedzających znacznej części palacu w Wilanowie.





NOWI SŁUDZY OŁTARZA

W uroczystość św. św. Piotra i Pawła w dn. 29 czerwca br. w kościele prokatedralnym w Warszawie otrzymali święcenia kapłańskie diakoni: E. Filip, H. Górecki, W. Nogieć, K. Stelmach. Święceń udzielił im J. Em. Ks. Biskup Profesor Maksymilian Rode, Prymas Kościoła Polskokatolickiego.

Również w dniu tym kilku alumnów WSD otrzymało święcenia niższe i święcenia subdiakonatu, a także przyjęci zostali do Kościoła ks. prob. W. Dziekan i ks. B. Lorkowski.

Korzystając z chwili wolnego czasu tygodnik „Rodzina” zwrócił się do neoprezbiterów z pytaniem.

Biorąc pod uwagę fakt niezaprzeczalny, że w życiu każdego abiturienta szkoły średniej, uzyskanie świadectwa dojrzałości powoduje szereg zmian w dotychczasowej sytuacji życiowej, często zmusza do podjęcia trudnej decyzji odnośnie wyboru przyszłego kierunku naukowego i zawodowego, Redakcja „Rodziny” jest niezmiernie zainteresowana w tym zakresie i w tym celu zwraca się do wielbnych księży — neoprezbiterów z prośbą o udzielenie odpowiedzi na pytania w związku z uzyskanymi święczeniami.

Nawiązując do wstępu, prosimy o wypowiedzenie się na następujące pytania:

Co wpłynęło na podjęcie decyzji poświęcenia się studiom teologicznym i dlaczego właśnie w Seminarium Duchownym Kościoła Polskokatolickiego a nie rzymskokatolickiego?

Jakie zadania należałoby nakreślić przed sobą, ażeby rola kapłana — społecznika znalazła uzasadnienie w nauce Jezusa Chrystusa, który jest Głową Kościoła Polskokatolickiego?

W odpowiedziach udzielonych Redakcji neoprezbiterzy stwierdzili, że w Kościele rzymskokatolickim zetknęli się bądź to z fałszem, bądź z zakłamaniem, że dobrowolnie zrezygnowali z pobytu w seminarium rzymskokatolickich, że urzekł ich język ojczysty w liturgii, że tygodnik „Rodzina”, który do nich dotarł był ich kierownikiem, opiekunem i apostołem, który przywiódł ich pod skrzydła Kościoła Polskokatolickiego.

Niektórzy z nich przekonali swoje rodziny o słuszności obecnej drogi.

Na przyszłość nowi słudzy ołtarza postanowili zająć się głównie młodzieżą, aby przy jej pomocy budować przyszłość Kościoła, postanowili idąc między ludzi głosić Boga w języku ojczystym, który jest zrozumiały dla każdego Polaka.

Fot. J. Kuratowski



MŁODZIEŻ BEZIDEOWA?

Cztery lata temu Teresa P. od tych słów właśnie zaczęła zeznanie przed Sądem Wojewódzkim w Gdansku. Wówczas wywoływały one dreszczyk sensacji i grozy, podniecały umysły i wyostrzały wyobraźnię. Stwarzały także wdzienne pole dla mniej lub więcej trafnych sugestii i domysłów. Na wielu ustach zawisło pytanie: — Dlaczego ta kobieta popełniła zbrodnię? Czy obce są jej ludzkie uczucia miłości i przyjaźni? Na jakim podłożu rodzinnym i społecznym wyrosło nasienie krwawej zbrodni? Liczni świadkowie oraz zeznania oskarżonej jak również współników zbrodni szczegółowo odtworzyły tło i przebieg wypadków. Teresa P. od dzieciństwa wychowywała się na wsi. Nie mając zdolności do nauki ukończyła zaledwie cztery klasy szkoły podstawowej. Z rodzinnej poznańskiej wsi przeniosła się wraz z rodzicami do PGR w Myszewie, woj. gdańskie. Tutaj na suto zakrapianej wiejskiej zabawie poznała swego przyszłego męża. Po dwu tygodniach znajomości wzięli ślub. Mąż pracował jako brygadziśta, w pracy był sumienny i wymagający, natomiast po pracy lubił uganiać się za dziewczętami, nierzadko zaglądał do kłieszka. Teresa była dumna dziewczyną i zawsze pewna siebie. Gdy jedna z sąsiadek zaczęła jej opowiadać o mitosnych podbojach męża odcieła krótko: — Ja mu jeszcze odpłace wet za wet. Kiedyś Teresę P. odwiedził jej dawny znajomy Stanisław W. stał się częstym gościem w domu Teresy, a nawet przenósł się na stałe do pracy w PGR. Oczywiście te fakty nie uszły oczu wścibskich sąsiadek, mąż Teresy, jak gdyby trochę z rozpaczą, częściej zaczął się upijać, chodził jakis zamyślony i nieswój. — Teresa, daruj, już nigdy Cię nie zdradzę — szeptał jej do ucha. — Przecież łączą nas dzieci, a Ty mnie kiedyś mocno i szczerze kochałaś. — No, dobrze, dobrze. śpij — mamrotala. Stanisław W. był jednak natarciwym, uparty i uwodzicielski. Kupował Teresie kosztowne prezenty, spotykał się z nią po kryjomu w lesie na jagodach, raz nawet wywiózł do miasta na dancing. Wtedy mąż postanowił chwycić się radykalniejszej metody. Przez kierownika PGR zaczął urabiać Stanisławowi W. złą opinię w powiecie i w województwie; poma-

Często słyszy się w rozmowach prywatnych, czyta w prasie, że nasza młodzież jest zła, niewychowana, rozchuliganiona, depcząca święte prawa poszanowania rodziców i starszych. Czy to jest prawda?

Starsi, odzierający młodzież naszą ze czci i wiary, tym samym wydają o sobie świadectwo.

Znane są bowiem powiedzenia, że „niedaleko pada jabłko od jabłoni“, że „jaka nać taka mać“ itp. Dlatego pisząc o młodzieży, nie pytam, „jaka jest nasza młodzież“, ale swój obiektyw chcę skierować na dorosłych.

Sklaniają mnie do tego dwa powody.

Po pierwsze, na temat „jaka jest nasza młodzież“ napisano już tyle, że trudno byłoby dodać coś nowego. Drugi powód jest jednak ważniejszy, chodzi o to, że zawsze odczuwaliśmy obawę, iż pytanie „Jaka jest nasza młodzież?“ często (prawdopodobnie wbrew intencji autorów) przesłaniało głębsze pytanie „Jacy są dorośli? Jaki jest świat, który stworzyli i w którym każą żyć i dojrzewać młodzieży?“ Pytając o to „jacy są dorośli“, a więc ci wychowawcy, ci twórcy środowiska wychowawczego dziecka i młodzieńca badamy nie objawy, ale poważną część przyczyn wszystkich ujemnych zjawisk, które występują (lub o których sądzi się, że występują) wśród młodzieży.

Zarzuca się naszej młodzieży, że jest bezideowa, że młodzież dzisiejsza jest zmateralizowana i nie umiejąca żyć dla ideałów i o nie walczyć, jak to „było dawniej“.

Osądzając w ten sposób młodzież nie należy zapominać, że młodzi zawsze formułują swe przekonania w stosunku do tego, co im podsuwają i sugerują dorośli.

Młodzież bowiem odrzuca lub przyjmuje, ale zawsze działa w odniesieniu do tego, co reprezentują i głoszą otaczający ją dorośli. Na zasadzie negacji i pretensji do ojca (jako do ojca!), syn bigota może zostać żarliwym ateistą. Powiecie, że tu nie ma związku logicznego? Oczywiście. Jednak psychika młodego człowieka to nie równanie matematyczne.

To są przypadki, kiedy sprawy światopoglądowe stają się przypadkowym terenem rozgrywania uczuciowych konfliktów ze „starymi“. Ale jeszcze liczniejsze są konflikty na tle rzeczywistych przemian światopoglądowych, zachodzących pod wpływem nauki szkolnej, poznawania naukowej prawdy o świecie. Konflikty pierwszego typu dotyczą raczej środowisk wykształconych i najczęściej środowisk aktywnie politycznego i społecznego.

Konflikty drugiego typu (na tle rozchodzenia się dróg filozoficznych) dotyczą raczej środowisk mniej wykształconych i zachowawczych, w których syn czy córka zaczyna wyrażać ponad rodziców, zaczyna górować nad nimi (lub tylko im się wydaje, że górują) wiedzą i wykształceniem. Wszyscy doskonale wiemy, ile chamstwa potrafią przejawiać wtedy młodzi ludzie wobec ojca robotnika lub chłopca, to prawda! Ale

ile brutalności, tępoty i okrucieństwa potrafią przejawiać nietolerancyjni rodzice wobec ewoluującego światopoglądowo syna, to druga niewątpliwie prawda. Warto więc, stanowczo warto i temu problemowi poświęcić uwagę.

Jest jednak jeszcze trzecia kategoria młodych ludzi, których kontakt ze światem dorosłych na czas pewien pozbawia wszelkiego światopoglądu, wtrąca w stan kompletnej bezideowości. Przypominanie o deprymującym i demoralizującym wpływie takich zjawisk w środowisku dorosłych, jak łapownictwo, alkoholizm, draństwo, kumoterstwo, dwulicowość itp., itp., jest chyba zbędne. Również znane są przypadki, kiedy bezideowości uczy nauczyciel uprawiający metodę wykładania „z przymrużeniem oka“. Każdą tezę o wyraźnie ideowo-moralnym ładunku wychowawczym można podważyć i zniweczyć jednym skrzywieniem warg, jednym lekceważącym gestem.

Chciałabym zatrzymać uwagę na sprawie bardziej zasadniczej, na tych o wiele liczniejszych przypadkach, kiedy młody człowiek wychowany przez uczciwych nauczycieli, wszedłszy w życie po roku czy dwóch proklamuje bolesne hasło: „śmierć frajerom“. Dlaczego tak się dzieje? Dlatego, że ze szkoły i z domu rodzicielskiego wyniósł tylko teorię życia oraz obraz świata i ludzi cukierkowy i przesłodzony, ale nieprawdziwy. Wiem, że dużo listów wpływa do każdej redakcji prasy młodzieżowej od czytelników w wieku 18—22 lat. Kończąc szkołę udają się oni do fabryki urzędu i tam stykają się z wypadkami polowania na premie, podlizywania się szefom, dyrektorom, kierownikom, z „podstawianiem nogi“ konkurentom itp.

Kto tu winien? Jak przeciwdziałać? Może jeśli nie da się szybko uzdrowić całego społeczeństwa, warto coś zmienić w wychowaniu, może należałoby wykreślić poza alternatywę: cynizm i bezideowe czarnowidztwo, albo landrynkowy, mdły świat wzorowych ludzi z różnych pogadań umoralniających i wypracować koncepcję pracy ideowo-wychowawczej, która nie pozbawiająca młodego człowieka wizji przyszłego świata uporządkowanego przygotowywałaby go psychicznie i uzbrajała w wolę walki ze wszystkim co jest złe, co pleni się na tej konstrukcji, szpeci ją i wykoślawia? Wydaje się, że „zbliżenie szkoły do życia“ — hasło obecnej reformy szkolnej — nie może pominąć tego problemu, jeśli nie ma ona stać się administracyjną żonglerką, siatką godzin i rozkładem materiału.

Nie usiłuję w niniejszym artykule stawiać rozwiązań i do końca wypowiedzianych problemów. Rzucam tylko garść myśli, nie chcąc (celowo) stawiać kropki nad „i“. Chciałabym bowiem za pośrednictwem „Rodziny“ i z Czytelnikami „Rodziny“ podjąć na ten temat dyskusję.

„Kochani rodzice i wychowawcy“, odezwijcie się w tej podjętej rozprawie nad wychowaniem, która w jakimś sensie będzie sądem nad nami wszystkimi. (M. K.)



ZABIŁAM MĘŻA

włał go o nadużycie i obiecywał na razie sam sobie po cichu, że go dyscyplinarnie wywali z roboty. Stanisław W. udawał, że tego wszystkiego nie dostrzega, romansował z Teresą i hawlił się w „wielką miłość“. — Bałam się trochę tej miłości, a jeszcze więcej jej nieobliczalnych skutków — zeznawała Teresa przed Sądem — zabrakło mi jednak sił aby się oprzeć jej pokusom, zwłaszcza, że Stanisław W. był dla mnie zawsze b. miły, uprzejmy i serdeczny. W międzyczasie mąż mój spowodował drobny wypadek drogowy, jadąc po pijanemu na motorze i wówczas kiedy przebywał w więzieniu, Stanisław W. spędzał ze mną dni i noce. Mąż robił mi potem awantury i coraz bardziej się upijał, zaraził mnie wreszcie chorobą weneryczną. Zbliżyła się nieuchronnie tragedia, która unieszczęśliwiła tyle osób. Działając w zmowie z kochankiem Teresa P. upoila własnego męża wódką i udusiła go ręcznikiem. Zbrodnia nigdy nie budzi do życia miłości. Stała się ona matką wiecznej udreki sumienia i goręczy długoletniej rozłąki. Czteroletni pobyt w więzieniu skazanej wyrokem Sądu Wojewódzkiego na dożywocie, odrodził u Teresy P. głęboką tęsknotę za miłością macierzyńską. Moja jedyna nadzieja — to dzieci. Dwoje najmłodszych przeżywa u moich rodziców, najstarszy syn u teściów. Raz w roku przeżywam wielką, uroczystą chwilę: odwiedzają mnie w więzieniu wraz z rodzicami dzieci. Kupuję im wtedy za pieniądze zarobione w przywiezionym przedsiębiorstwie konfekcyjnym słodycze lub coś z odzieży. Porównuję w pamięci sylwetkę Teresy P. zeznającej przed Sądem z Teresą więźniarką. Tutaj w więzieniu jest bardziej skupiona w sobie, stara się obiektywnie ocenić swoją postawę etyczną, kureczowo szuka dróg rehabilitacji przed społeczeństwem. Ukończyła szkołę podstawową, wyuczyła się krawiectwa.

Stanisław W.? Chciała mu przesłać do więzienia paczkę papierosów, a więc pamięta o nim, współczuje mu może, wiąże z nim plany na przyszłość?

— Jeżeli wyjdę kiedykolwiek z więzienia, to przede wszystkim chcę być matką dla dzieci i abym więcej nigdy nie wróciła w te mury. Z nim żyć nie będę, to budzi zbyt bolesne wspomnienie. Dzieci jednak wiedzą o zbrodni matki. Jeszcze dwa lata temu najstarszy syn pisał do niej: „Ty nie jesteś moja matka, tylko suka, hoś mi ojca zamordowała. Nie chcę do ciebie pisać żadnych listów. Nie mam ojca i niech nie będzie matki. Jak ty napiszesz list, to ja się robię chory, ciągle płaczę, gdzieś straciła mi ojca, którego tak kochałem i nie zapomnę do śmierci“. Ostatnio przemożli się i za namową dziadków odwiedziła matkę w więzieniu. Niezatarcie, moralne piętno zbrodni pozostaje na zawsze w sumieniu i sercu zbrodniarza i jego najbliższych osób, żyje długo w ludzkiej pamięci wzbudzając grozę, ostrzeżenie lub potępienie i w przejmującej ciszy cmentarza, na którym spoczywa mąż Teresy P.

Raz w miesiącu Teresa chodzi na Mszę św. do kaplicy więziennej. Wraca zwykle z oczami pełnymi łez i nieodgadnionej rozpacz. Co dzień w modlitwie rozmawia z Panem Bogiem i prosi Go o przebaczenie, co dzień wzbudza w sobie nadzieje wytrwania, pokrzepia sumienie i zagrzewa serce uczuciem macierzyńskiej miłości, z której jednak nie zniknie nigdy cień popełnionej zbrodni. Będzie on towarzyszył jej w życiu doczesnym i wiecznym, jako wstrząsający, choć niemy wyraz duchowego cierpienia.

FR. OSZMIANSKI

Rok 1944. Powstanie trwało. Warszawa płonąła. Po ciężkich walkach ulicznych kompania kapitana Mokrzyckiego odpoczywała w jakimś ogródku w cieniu krzewów róż, owocowych drzew i na gruzach zdobytego domu. Na wielu głowach były białe opaski bandaży, na których odbijała się ciemna plama krwi. Ten i ów rękę nosił na chuście lub za marynarką. Ten i ów kulał trochę. Nikt jednak nie chciał iść do szpitala na odpoczynek, gdy jeszcze można było włączyć ręką i przysłużyć się, chociażby resztkami sił, Ojczyźnie i Warszawie.

Kapitan siedział na jakiejś beczce na podwórzu i dumiał. Zdjął z głowy hełm, włosy opadły mu na czoło.

Nieco dalej pod dużą jabłonią, która miała wiele gałęzi połamanych od szrapneli i pocisków, siedziało kilku chłopców i rozmawiając hałaśliwie, palili papierosy. Któryś zaczął sobie śpiewać:

*Będziemy iść karnie pomimo przeszkody,
będziemy z zapalem walczyć o twój byt,
aby w nagrodę, kiedyś, z piersi młodej
okrzyknąć Twego Odrodzenia świt.*

Inny znów nucił:

*..bo dla naszej kompani szturmowej,
nie ma przeszkód i nie ma złych dróg...*

Kapitan spojrzał po swoich chłopcach i mruknął do siebie:

— Hm! Dziwna to piosenka... Brzmi bardzo dziwnie i nie pasuje wcale do tej wojny, bo każdy dom, każdy niemal kamień jest dla nas fortecą, ale jest i przeszkodą...

Gdzieś z sąsiednich ulic dochodził hałas zaciętej strzelaniny, ciężkie wybuchy bomb, granatów i jęki armat.

Kapitan sięgnął do kieszeni po papierosa. Na chwilę oderwał uwagę od toczącej się w wielu punktach miasta walki i myślał o żonie, którą sanitariusze odnieśli ciężko ranną do polowego szpitala.

Na zawalone gruzem i różnego rodzaju gratami i sprzętem domowym podwórze wszedł jeden z powstańców, młody, czternastoletni chłopiec, Jurek. Szedł powoli, poważny, nawet zmęczony. Na szyi wisiał zdobyty bergman, za pasem tkwiły cztery niemieckie granaty. Był bardzo blady. Spod wielkiego zielonego hełmu, na którym odbijała się białoczerwona opaska, świeciły szeroko rozwarte oczy. Nos miał obrzękły i zaczerwieniony. Stał przed kapitanem.

— Panie kapitanie... — rzekł.

— Co tam?... No i jak? — zawołał kapitan.

— Kłapa generalna, panie kapitanie. Zdobyliśmy podwórze i dom, do którego wpadli wszyscy chłopcy z plutonu Waldka, lecz... wówczas.

— Co wówczas?!... — spytał kapitan.

— Wówczas huknął strzał, dom zakolał się i runął, przywalając wszystkich w nim się znajdujących... Kazik i ja zdołaliśmy wyratować się, bo nie zdążyliśmy jeszcze wpaść



SKRWA- WIONE RÓŻE

do środka, gdy to się stało... Poczęliśmy się wycofywać. Szkopy nas zauważyli i wygarnęli do nas z karabinu maszynowego. Padliśmy za kupą gruzu. Niemcy siekli w to miejsce, jak cholera, ale nic nie mogli zrobić, bo osłaniały nas cegły. Kazik ulokował się wygodnie i otworzył ogień ze swojego bergmana. Ja się wycofałem, przelazłem niezauważony przez zawalony sąsiedni dom i rzuciłem granat. Po wybuchu granatu karabin uciął, bo rozwaliłem szkopów, ale zamilkł również Kazik. Trafili go, dostał w głowę...

Kapitan spojrzał na chłopca. Wzrok zatrzymał na jego ręce. Na lewym ramieniu była ciemna plama, a po dłoni sączyła się lśniąca strużka krwi.

— Ale ty jesteś ranny, chłopcze! — zawołał kapitan.

— To głupstwo, panie kapitanie... Nie ma o czym gadać. Sięgnęli mnie w rękę.

— Idź do sanitariuszek. Niech cię opatrzą!

Chłopiec odszedł. Kapitan Mokrzycki przez chwilę pozostał sam ze swoimi myślami.

Przed dowódcą stanął porucznik Skórzewski i ksiądz Franciszek, który w czasie powstania został kapelanem wojskowym grupy kapitana Mokrzyckiego.

Porucznik Skórzewski, siadając obok kapitana, wydobyl z kieszeni kartkę i podając ją Mokrzyckiemu, rzekł:

— Proszę, kolego. To jest stan kompanii. Zrobiłem apel po wypadzie.

Kapitan przyjął kartkę, lecz nie czytał jej.

— Czy dużo zginęło? — spytał.

— Dużo! — odrzekł porucznik.

Skórzewski zaczął wymieniać nazwiska i pseudonimy zabitych. Kapitan słuchał w milczeniu, lecz obfity pot wystąpił mu na czoło.

— Psiakrew! — zaklął kapitan i umilkł, bo poczucie bezradności i zniechęcenia zaczęło zalewać jego duszę.

— Nie dało się tej pozycji utrzymać... — rzekł porucznik.

— Miał pan rację... Tamta pozycja jest w tej chwili dla nas nie do zdobycia... rzekł kapitan.

— Niemcy, kolego, górują nad nami na każdym odcinku do tego stopnia, że mogą nas wypchnąć z każdej pozycji i do żadnej swojej nie dopuścić — powiedział Skórzewski.

— Może i nawet mogą, bo istotą każdego

powstania jest walka szaleńcza o niepodobieństwo... — odpowiedział dowódca.

Obaj oficerowie rozmawiali dalej o losach wojny, o trudnościach, kłopotach i planowali nowe wypadki. Ksiądz Franciszek, pozostawivszy obu dowódców, poszedł między „żołnierzy” i chodząc od grupki do grupki, wszędzie się zatrzymywał, uśmiechał, zachęcał, podtrzymywał słabszych na duchu. Obszedłszy wszystkich skierował się do rozwalonego częściowo domu, przy którym odpoczywali. Wszedł na klatkę schodową zawaloną tynkiem, wapnem i papierami. Szedł powoli w górę po schodach, opierając się o barierę. Nie spieszył się. Było mu tak dobrze iść samemu pogrążonemu w myślach.

Na pierwszym piętrze zatrzymał się i spojrział na częściowo rozwalone okno. Przy oknie stała łączniczka i sanitariuszka Marylka. Przyłożyła policzek do ramy okiennej i stała. Potrzebowała widocznie ciszy. Walka pełna czkawki peemów i wybuchu granatów widocznie męczyła ją. Stojąc nieruchomo spoglądała na słup czarnego dymu, który wznosił się z palącego się w pobliżu domu.

Ksiądz podszedłszy do niej, położył jej rękę na ramieniu.

— O czym, Marylko, tak dumasz? — spytał.

Odjęła głowę od ramy i wolno się odwróciła. Lekko wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

— Ot, tak sobie, proszę księdza. Chyba o niczym nie myślę.

— Zmęczyłaś się? — spytał.

— Trochę...

— To idź odpocząć.

— Nie mogę, bo niedługo mam pójść na linię.

— A może cię kimś innym zastąpić? — spytał.

— O, nie, nie, proszę księdza! Nie chcę, ja mam dosyć jeszcze sił.

Ksiądz bez słowa odwrócił się i zaczął wchodzić wyżej na schody. Nie przeszedł jeszcze czterech stopni, gdy zatrzymał go głos Maryli.

— Proszę księdza!... — zawołała.

Zawrócił ku niej.

— Co, Marylko? Chciałaś coś ode mnie?

— Tak!...

— Słucham cię!...

— Chciałam księdza zapytać...

— Służę ci chętnie i słucham... powiedział.

— Chciałam zapytać się, czy ksiądz jest

pewny, że byłabym zbawiona, gdybym w tej chwili umarła?

Ksiądz drgnął. Nie spodziewał się takiego pytania. Wyteżył wzrok. Z uwagą patrzył na bladą twarz dziewczyny, którą okrywały pasma jasnych włosów. Nie mógł zbyć uśmiechem pytania, bo zbyt wielu widział umierających codziennie. Westchnął ciężko i rzekł:

— Hm. przyznać muszę, że zaskoczyłaś mnie tym pytaniem. Nie mogę ci bowiem na nie odpowiedzieć, gdyż tylko jeden Bóg zna wszystkie tajemnice ludzkiego serca. Człowiek, nawet sam o sobie, nie może wydać pewnego sądu, bo może się mylić. Powinnaś jednak zawsze pamiętać o tym, gdy cię takie myśli nachodzą, że Bóg kocha tych, którzy Go kochają i mogą Mu służyć...

— Lecz — zaoponowała — ja nie wiem, czy Go kocham.

— Boga ten kocha, kto chce Go kochać. Tu nie chodzi o uczucie, ale o wolę.

Zaczął na odpowiedź, bo wiedział że w chwilach wątpliwości, człowiek powoli decyduje się na odpowiedź.

— Tak — rzekła po chwili — chcę Go kochać... ale... widzi ksiądz kapelan... ja tylko chcę, lecz nie odczuwam tego chcenia tak, jak na przykład to czuję do...

— Śmiało, Marylko, mów... rzekł cicho ksiądz.

— Proszę księdza, czy kochać kogoś jest grzechem?

— Miłość jest wrodzona człowiekowi i jako taka jest bezgrzeszna... A ty kochasz kogoś?...

— Tak!

— Można wiedzieć kogo?

— Kocham tego, który obok mnie stoi.

— Ksiądz drgnął.

— Tak... kocham cię, księżo Franciszku — powtórzyła.

Ksiądz nie odpowiedział nic.



SMUTNE DZIECIŃSTWO

Ciężkie dzieciństwo miała Danusia. Urodziła się w czasie wojny w zapadłej wiosce kieleckiej, w pobliżu miasta Włoszczowa. Matka była panną. Jej kochanek — bogaty gospodarz Bielecki wyparł się dziecka, które przyszło na świat. Ona — też nie odczuwała żadnej miłości do córki. W dwa miesiące po porodzie podrzuciła ją swemu zniedołężniałemu ze starości i chorób ojcu i potajemnie pojechała w świat szukać szczęścia dla siebie. W sercu dziadka rozgorzał nieoczekiwane wielki płomień miłości do wnuczki. Niestety, stary Gorzecki po ucieczce córki pozostał bez żadnych środków do życia. Pracować już nie mógł. Musiał więc żebrac. Zebrał przede wszystkim dla niemowlęcia, własne potrzeby zaspokajał byle czym. Codziennie obchodził w wiosce wszystkie matki karmiące piersią i prosił je o trochę pokarmu. Przeważnie nie odmawiały. Bały się kary Bożej. Wielki to przecież grzech żałować niewinnemu dziecięciu paru kieliszków mleka, tym bardziej gdy własne nie wysysa wszystkiego. Niektóre kobiety nawet same przybiegały do chałupy Gorzeckiego i przystawiały Danusię do nabrzmiałych pokarmem piersi. Lepiej się już staremu wiodło, gdy dziewczynka zaczęła pić mleko krowie. Łatwiej jej było u ludzi wyżebrac i mniej sprawiało kłopotu.

Potrzeba opieki nad porzuconym przez matkę dzieckiem jakby odmłodziła staruszka. Całymi godzinami dreptał wokół małej istoty i obsługiwał jej. Karmił, prał pieluszki, strugał z drzewa i robił z galganów zabawki, śpiewał kolysanki. W nocy, nie zważając na dolegliwości serca, nerek i wątroby, zrywał się z wyrka, gdy tylko dziecko zakwiliło. W ciepłe i słoneczne dni chodził na deszy razem z małą, w zimne i szerszowe — zastawiał ją pod opieką równie zgrzybiałego ze starości psa Kruczka, a sam podpierając się kosturem biegł do chałup po żywność lub do lasu po chrust. W wiosce omijał tylko dom Bieleckiego, ojca Danusi. Kiedyś ośmielił się tam wejść, ale poszczuto go psami i zapowiedziano, żeby więcej nie ważył się pokazywać. Dawniej starzec codziennie błagał Boga o śmierć. Teraz chciał żyć. Z trwogą myślał o tym, co się stanie z wnuczką, gdy on odejdzie z tego świata.

Mijały miesiące. Dziecko coraz to rozumniej patrzyło na wszystko, co je otaczało. Widok twarzy z dużą siwą brodą musiał sprawiać przyjemność, niemowlęciu, gdyż uśmiechało się i

wyciągało ku niej rączki. Podobnie reagowała Danusia patrząc na Kruczka. W małym serduszkach kielkowała już miłość do tych dwóch żywych, życliwych istot. Stare psisko ciągle leżało na łapach obok kolyski i patrzyło mądrymi ślepiami na ludzi, bezradną kruszynkę. A gdy dziadek zawiązał ją w chustę i wynosił na podwórze, to i ono podnosiło się ociężale i wlokło się za nimi.

Powoli dziecko zaczęło raczkować, wstawać i wreszcie chodzić, trzymając się stolców, ławy lub psa. Ale nóżki widocznie nie wytrzymały niedoli okresu dziecięcego. Gięły się coraz bardziej w pałaki. Dziewczynka o pięknej twarzy zaczęła ozdobić węgielkami oczek i czarnymi włoskami chodząc na swych krzywych nóżkach, jak kacuszka, kiwając się na boki. Dziadek pocieszał sam siebie, że może się powoli wyprostują...



W kilka dni po zakończeniu wojny zjawila się niespodziewanie we wsi matka Danusi. Dziewczynka miała już wtedy trzy latka. Na przybyłą kobietę patrzyła nieufnie. Słowo „matka” nie miało dla niej żadnej treści. Za to dziadek ucieszył się niezmiernie.

— Teraz — zawołał — może mnie już Pan Bóg powołać do siebie, skoro wnuczka ma opiekę młodej i zdrowej kobiety, własnej matki. Gorzecka przyjechała z pieniędzmi. Nie tłumaczyła się nikomu z tego gdzie i w jaki sposób je zarobiła. Pytania ojca zbyła milczeniem. Staruszek przestał chodzić na żebrzy. Dziecko powoli przyzwyczajało się do nowej osoby w domu.

Co kilka dni Gorzecka wymykała się do miasteczka. Wracając w późnych godzinach wieczornych. Pewnego razu powiedziała swemu ojcu, że zabiera z sobą do Włoszczowa Danusię, gdyż chce jej sprawić nowe buciki i ubranko. Wieczorem powróciła sama. W paczce miała nowe futro,

— Gdzie wnuczka? — zawołał przestraszony dziadek.

— Sprzedałam ją — odpowiedziała.

— Jak to sprzedałaś? — zdumiał się starzec.

— Po prostu. Znaleźli się bogaci, bezdzietni ludzie, którzy pragnęli dziecka. Danusi na pewno będzie u nich dobrze...

— Jezus Maria, Jezus Maria — powtarzał dziadek, patrząc błędnymi oczyma na córkę. Potem wymamrotał:

— Ile wzięłaś za nią?

— Dali mi futro i parę tysięcy złotych.

Z Gorzeckim zaczęły się jakieś niedobre rzeczy. Usiadł na ławie i chwycił się za serce. Ciężko dyszał. Kruczek podniósł się z podłogi i zaskomlał żalostnie. Czyżby rozumiał o czym ludzie mówili?

— Komu sprzedałaś moją wnuczkę? — wykrzyknął wreszcie starzec.

— A co cię to obchodzi — wybuchnęła również kobieta. — To jest moje dziecko, ja je urodziłam i ja będę decydować o jego losie. Zła mu nie życzę. A ty, stary egoisto, chciałbyś je zmarnować na swym żebraczym chlebie. O nie, niech lepiej zapomni o nas...

— Dla futra to zrobiłaś, dla

starzec ocknął się, nikogo już w domu, oprócz psa, nie było. Zajrzał do kolyski, jakby chciał się upewnić, że to wszystko, co się przed chwilą zdarzyło, było tylko koszmarnym snem. Ale to nie był sen. Starzec, tuląc się do Kruczka, zapłakał rozpaczliwie. Potem uspokoił się i zaczął nasłuchiwać. Wydawało mu się, że gdzieś daleko, słychać żalostny głosik wnuczki:

— Dziadziuś, dziadziuś...

Niestety, nie mógł biec jej na ratunek. Pocucie niemocy i bezradności dobięło go do reszty. Noc ta wlokła się w nieskończoność.

Skoro tylko zaswitało, poszedł na posterunek milicji.

Komendant, sierżant Gawryszek wysłuchał bezładnego, przerywanego szlochaniem opowiadania starca i rzekł:

— Niech się pan uspokoi. Wnuczka na pewno się znajdzie. Zresztą, między nami mówiąc, być może lepiej byłoby dla niej, gdyby pozostała tam, gdzie jest teraz. Nie za dobrze jej się żyło u pana, nie za dobrze...

— Co pan mówi, panie komendancie, co pan mówi... — łkał starzec.

— Oczywiście, wyraziłem tylko swój prywatny sąd na tę sprawę. Prawo nie pozwala handlować dziećmi i moim obowiązkiem jest przyjąć pańską skargę i nadać jej urzędowy bieg. Dziecko zostanie odnalezione, a jego losem zajmie się już chyba sąd. Ale gdyby nawet umieszczono dziewczynkę w Państwowym Domu Dziecka, to pańskie prawa do niej nie ucierpią. Będzie ją pan mógł zawsze widywać.

— Na wszystko się zgodzę, byleby ją tylko wyrwać z rąk nieznanych ludzi. Panie sierżancie, niech mi pan powie prawdę: kiedy odnajdziecie moją wnuczkę? Przecież ona tam pewnie teraz rozpacza z tęsknoty za domem...

— Panie Gorzecki — odparł na to komendant — mamy teraz na głowie naprawdę wiele poważnych spraw. Wojna nie dla wszystkich się zakończyła. Lasy są jeszcze pełne zbrojnych ludzi. Nie możemy więc natychmiast skierować wszystkich naszych sił na poszukiwanie dziecka, ale ręczę panu, że je odnajdziemy. Proszę się nie denerwować i czekać spokojnie.

Staruszek wyszedł z posterunku targany na przemian nadzieją i zwątpieniem. Usiadł przy drodze wiodącej do miasta i razem z Kruczkim tkwił tam do wieczora. Nieszczęście mieszało rozum staremu. Może sądził, że stanie się cud i na drodze ukaże się wnuczka, wracająca do domu, do swoich zabawczek?

W nocy z męczącego snu wyrwał nagle Gorzeckiego terkot automatu i wybuchy granatów. Wybiegł na podwórze i zobaczył olbrzymi język ognia. To płonął posterunek milicji. Kiedy strzały ucichły, podszedł wraz z kilkoma odważniejszymi mieszkańcami wsi do zgłiszcz i w świetle dopalających się desek rozpoznał wśród trupów ciało sierżanta Gawryszka.

W okolicy rozpoczął się sądny dzień. Wojsko i milicja przetrząsały lasy. Z daleka dolatywał do wsi huk wystrzałów.

Gorzecki, jak błędny ogień na bagnach, włóczył się między opłotkami i mamrotał:

— Kto teraz będzie szukał wnuczki? Komu teraz w głowie krzywdza dziecka, starca i psa?

Pod wieczór dziadek Gorzecki z torbą żebrzącą na plecach i z kosturem w ręku opuścił wieś. Za nim powłócił się Kruczek.

Gorzecka spakowała do walizki swoje rzeczy i wyszła z chałupy. Gdy

K

wiecień 1944 r. Berlin. Urodziny ludobójcy — Adolfa Hitlera. Kurczy się stan posiadania zdobytych terytoriów. III Rzesza znajduje się, po klęsce pod Stalingradem u początku końca swojej krótkotrwałej wielkości.

W urzędzie kanclerza Rzeszy Hitlera zebrał się korpus dyplomatyczny, aby złożyć życzenia urodzinowe największemu zbrodniarzowi świata.

Ambasadorzy i posłowie ustawieni w półkręgu. Na prawym skrzydle znajduje się nuncjusz papieski, osobisty pełnomocnik dyplomatyczny papieża Piusa XII, kardynał Orseni. W pół zgięty kardynał składa jak najlepsze życzenia współczesnemu Herodowi. W imieniu papieża, w imieniu zgłajchszaltowanych i satelickich państw współpracujących z hitlerowską Rzeszą.

Te życzenia składa watykański ambasador w imieniu papieża i w... imieniu całego świata rzymskokatolickiego, ale bez upoważnienia. Kosmiczna, oportunistyczna obłuda papieskiego kardynała, podyktowana przez Piusa XII, który przez szereg lat, nim został papieżem był właśnie przedstawicielem dyplomatycznym w Niemczech.

Podczas kiedy wysłannik papieża Piusa XII składał wiernopoddańczy hołd oprawcy Hitlerowi — w obozach koncentracyjnych byli biologicznie wyniszczani księża rzymskokatolicki, różnej narodowości. Tysiące z nich zmarło w cierpieniach, tysiące spalono w krematoriach.

Jeż obłudy, nikczemności mieści się w działaniu dyplomatycznym nieżyjącego papieża Piusa XII, który zamiast zagrznieć świętym oburzeniem, przez swoich przedstawicieli podlizywał się Hitlerowi...

Ktokolwiek przeżył lata strasznej okupacji hitlerowskiej, ten niewątpliwie pamięta spontaniczne oburzenie społeczeństwa polskiego, które wzburzone było serwilizmem Watykanu wobec władców III Rzeszy. Powszechnemu oburzeniu towarzyszyła boleść powszechna nad upadkiem moralności chrześcijańskiej w

Kurii Rzymskiej. Papież trzyma z Hitlerem — mówiono powszechnie w Polsce. I nie tylko w Polsce. W ślad za proniemieckim stanowiskiem Watykanu ukazały się niestety listy pasterskie polskich biskupów: Kaczmarca (kieleckiego) i Lorka (sandomierskiego), nawołujące do... dobrowolnego zgłaszania się Polaków na wyjazd do Rzeszy, na roboty. Listy te, stanowiące bezsporny dowód zdrady narodowej spotkały się z powszechnym oburzeniem całego społeczeństwa i obaj biskupi napiętnowani zostali jako renegaci.

dostojnikowi, że ich jest w obozie znacznie więcej — nadal dziwił się. Wtedy polscy księża zaczęli wliczać ilu z jakiej diecezji kapłanów poniewiera się w Dachau.

Monsignore słuchał. Marszczył czoło, ocierał pot... po czym oświadczył, że... nie ma dyspozycji co do udzielenia pomocy materialnej ze strony Watykanu.

Tego rodzaju bezduszne, bezmyślne, biurokratyczne stanowisko wysłannika papieskiego spotkało się z oburzeniem ze strony księży polskich. Jak to — bliższy jest Watykanowi:

ZA DRUTAMI OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH

WYŚŁANNIK PAPIEŻA WYGWIZDANY

W latach wojny, watykański aparat miłosierdzia społecznego działał dość sprawnie i spieszył z pomocą wielu ofiarom wojny, tylko nie Polakom. Przykład: w tydzień po oswo-bodzeniu obozu koncentracyjnego w Dachau przybyli przedstawiciele stolicy apostołskiej. Przywieźli ze sobą cały pociąg odzieży, żywności i leków, pochodzących z darów.

Papieski delegat w eleganckim kapeluszu. w lśniącej czarnej sutannie, przepasanej purpurowym pasem, pachnący lawendą stanął oko w oko z wygolonymi szkieletami ludzkimi. Byli to księża rzymscy z Francji, Niemiec, Belgii. Uwolnionym kapłanom papieski delegat przekazał błogosławieństwo Piusa XII i oznajmił, że przywołał pomoc, którą objęci będą uwolnieni kapłani.

Rzymski monsignore nie raczył pofatygować się do baraku, przed którym stali w oczekiwaniu na przybycie papieskiego wysłannika — księża rzymskokatolicki — Polacy. Widząc odjeżdżającego wysłannika rzymskiego — księża polscy wpadli w osłupienie. Nie zdzierzył jeden z nich. Mianowicie ks. Czajka. Lunatycznym krokiem zaskoczył monsignore, który zawrócił i speszony wyraził swe „łaskawe“ zdziwienie, że tylu księży Polaków znajduje się w obozie. Również „łaskawie“ stwierdził ich godny współczucia rozpaczliwy stan fizyczny. A kiedy osmieleni księża zakomunikowali uperfumowanemu

ksiądz belgijski, francuski, niemiecki — a księża polscy znajdują się poza zasięgiem dóbr składkowych, których dysponentem był Rzym? Powstał niezwykle tumult. Spontanicznie, żywiołowo rozległy się gwizdy skierowane pod adresem papieskiego wysłannika.

Monsignore postawił kolnierz, opuścił głowę i chylił. Złorzeczając skierował swe kroki w stronę bramy. Towarzyszył mu tumult i gwizdy, jak na meczu sportowym, kiedy publiczność jest niezadowolona z powodu niewłaściwych decyzji sędziego. Jerzy Janicki w swej książce pt. „Dwunastu mnichów“ — pisze, że za nim (tym monsignore) biegł gwizd, wspólny, zgodny gwizd katechetów, proboszczów, kapelanów, kleryków, przeorów, braci opatów, gorliwych i załamanych, liberalnych i dogmatyków.

Te przyżycia były udziałem jednego zakonika — ojca Józefa. Był on pierwszym kapucynem, który powrócił z przymusowej „rajzy“ do ojczyzny. W Warszawie stanął przed obliczem zwierzchników. Prosił o jurysdykcję, o prawo odprawiania Mszy św., spowiadania. Chciał być znów potrzebny ludziom, zwłaszcza tym pozbawionym na skutek wojny rodzin, żon bez mężów, mężów bez żon, chciał nieść pomoc sierotom, oddziaływać na nie w duchu Nauki Chrystusa Pana.

Usłyszał pytanie:
— I po coś tu wrócił?...

SPRAWY DNIA dzisiejszego

PLENUM A NIE PREZYDIUM

W niniejszej rubryce omawiamy, z reguły, zagadnienia bieżące, dotyczące tzw. „szarego człowieka“, problemy ogólne, obyczajowe, społeczne [w najszerszym pojęciu znaczeniu]. Źródłem tematyki są nasze obserwacje i zagadnienia omawiane na łamach prasy codziennej i w periodykach. Tym razem przebiegając po szpaltach tygodników dla przykładu, weźmy do ręki „Prawo i Życie“, organ Zrzeszenia Prawników Polskich, gdzie omawiane jest zagadnienie prawidłowości zwolnień z pracy ludzi zatrudnionych w zakładach przemysłowych.

Generalna Prokuratura zadala sobie trud poddania analizie okoliczności, w jakich

nastąpiło zwolnienie z pracy ludzi, którzy pracowali w 242 różnych zakładach. Okazało się, że w trybie bez wypowiedzenia zwolniono z tych zakładów 3.076 osób. Przy czym w 1.194 wypadkach dokonano tych zwolnień bez uzyskania w tej sprawie — uprzedniej zgody — rady zakładowej lub delegata związkowego.

Nie mamy zamiaru, na łamach „Rodziny“ przytaczać długiego i skomplikowanego wywodu, zamieszczonego na łamach tego dwutygodnika. Ograniczamy się do konkluzji istotnej i obowiązującej. Brzmi ona:

plenum rady zakładowej, a nie jej prezydium, nie delegat związkowy, wyraża zgodę na zwolnienie pracownika.

Pracownik bowiem ma prawo domagać się, by w jego sprawie wypowiedziano się całe gremium, a nie skrócony organ wykonawczy. Pamiętamy, że zwolnienie bez wypowiedzenia, jest nie tylko ostrą sankcją dyscyplinarną. Pociąga w wielu wypadkach nader

dotkliwe i ujemne skutki dla pracownika w zakresie ciągłości pracy niezbędnej dla zachowania praw do urlopu i zasiłku rodzinnego.

ROZDROŻE

Według założeń perspektywicznego planu, w 1980 r. ludność naszych miast wzrosnie z 14,3 do 22 mln. Na wzrost ten złoży się i przyrost naturalny i emigracja ludności ze wsi do miasta. Podczas kiedy w 1960 r. w miastach mieszkało 48,1% ogółu ludności, w 1980 r. w tych samych miastach mieszkać będzie już 59,4% ludności.

Najsilniej działającym magnesem, przyciągającym ludzi do miasta — pisze red. J. Weyroch w „Tygodniku Demokratycznym“ jest praca, warsztat, fabryka lub budowa.

Opracowany plan rozwoju miast (do 1980 r.) przyjmuje zasadę, że największy wzrost ludności powinien nastąpić w miastach najsłabiej obecnie zurbanizowanych. A więc w

woj. rzeszowskim, kieleckim i krakowskim. Najmniejszy przyrost ludności powinien „dotknąć“ woj. katowickie, wrocławskie, miasta takie jak Warszawa i Łódź. Projekt przewiduje również, że powstaną w Polsce miasta, wyposażone we wszelkie urządzenia kulturalne, socjalne i komunalne, zamieszkałe przez 50—150 tys. mieszkańców. Te właśnie miasta mają przed sobą przyszłość rozwojową. Ale pozostaną miasta mniejsze, nie będące siedzibami władz powiatowych. Miast takich jest bez mała trzy setki. Nie przewiduje się, aby na ich terenie powstały jakiegokolwiek ośrodki przemysłowe. Powstaje więc pytanie, czy zostaną one skazane na dalszą wegetację, powolny upadek, czy też istnieją możliwości ich rozwoju.

Problem niebagatelny. Tych 300 miast, to ponad 1/3 miast w Polsce. To problem 1/9% obywateli naszego kraju. W sumie problem duży.

ADAM KŁOS

DZIWNE TWORY PRZYRODY

Twory przyrody tak niezwykle w swych kształtach i fantastycznym nieraz. wyglądzie wzbudzają podziw nie tylko specjalistów — przyrodników, czy leśników, ale i zwykłych turystów, czy wczasowiczów zapuszczających się w nasze piękne lasy.

Na pierwszej fotografii widzimy ciekawy wybryk natury: boczna gałąź grubej, o niskim pniu sosny wrosła w równy, strzelisty pień sosny stojącej obok. Wrośnięcie nastąpiło prawdopodobnie przez okaleczenie złamanej, grubej gałęzi sosny i wbicie się tej gałęzi w pień, pod korę sąsiedniego drzewa. Sosna ciągnąc pożywienie przez własne swoje korzenie, jak również otrzymując pokarm przez wrośniętą gałąź drugiego drzewa wykazuje zgrubienie pnia ponad wrośnięciem, czyli pień jest grubszy u góry niż u dołu.

Oryginalne jest też zrośnięcie się dębu z bukiem. Pnie na połowie swej wysokości prawie zupełnie się „zlały” dopiero w koronie drzewa widać dwa odrębne wierzchołki. Takie okazy zrośniętych drzew leśnicy nazywają „leśnymi braćmi”.

Obie pary „leśnych braci” rosną sobie w lasach w okolicy Wejherowa. Ale każdy las kryje w sobie różne dziwy. Wędrując więc szlakiem letnich wypraw szukajmy „dziwów przyrody”.

M. A.

Zrośnięcie dębu z bukiem

Zrośnięcie dwu sosen

„IDEA KOŚCIOŁA NARODOWEGO W LITERATURZE POLSKIEJ” — to najnowsza broszura, opracowana przez mgr M. Narbutt — cena 5 zł, wydana przez WLR, W-wa, ul. Wilcza 31.

Od początku istnienia państwa polskiego i przyjęcia chrztu przez Mieszka I Polacy dążyli do Wyzwolenia się spod dominacji Rzymu i obcych narodowościowo biskupów. Wśród tych, którzy mówili o konieczności stworzenia Kościoła Narodowego wolnego od wpływu Watyka-

nu nie zabrakło co znakomitszych polityków, filozofów, literatów jak: Ostroróg, Frycz-Modrzewski, Słowacki i wielu innych.

Wielu czytelników, zainteresuje na pewno ta broszura, napisana zwięźle i jasno tak, by przez każdego była zrozumiana.

Zamówienia realizujemy po uprzednim wysłaniu należności przekazem pocztowym lub blankietem na konto PKO W-wa, nr konta 1-14-147290, na nasz adres: WLR, Warszawa, ul. Wilcza 31.

PORADY PRAWNE

Pani ALINA KWAŚNIAK — Dobrzyń Wielki k. Opola.

W związku z Pani listem, Redakcja uprzejmie informuje co należy uczynić w sprawie opisanej w liście.

Walkę z alkoholizmem prowadzi Główny Komitet Społeczny, mający swoje oddziały w miastach wojewódzkich. Radzimy zwrócić się do Głównego Komitetu Społecznego w Opolu, ul. Mickiewicza 1, którego kierowniczką jest Pani Wieczorkowska. W Komitecie Pani Alina przedstawi swoją sprawę, szczegółowo poinformuje o trybie życia męża, o grożącym niebezpieczeństwie dla Pani życia ze strony męża i otrzyma Pani szczegółowe wskazówki jak należy postąpić. Wierzymy, że Komitet rozwiąże ten koszmarny problem i dopomoże Pani do unormowania warunków bytowych. Sprawa nie jest prosta, wymaga upływu czasu i okazania cierpliwości. Redakcja życzy Pani pomyślnego rozwiązania trudnego problemu własnego i społecznego.

Pani WIESŁAWA z Radomia

Zgodnie z życzeniem Pani, Redakcja informuje dokąd należy się udać celem uzyskania pomocy materialnej. Tymi sprawami zajmują się Wydziały Zdrowia i Opieki Społecznej przy Prezydium Rad Narodowych każdego stopnia. Podkreślamy, że ubieganie się o pomoc materialną nie jest żadnym wstydem i nie należy zwracać uwagi na opinię ludzi ze środowiska, w którym Pani przebywa, że ubieganie się o pomoc jest czynem poniżającym godność człowieka. Wielu ludzi zwraca się o pomoc materialną i państwo im tej pomocy nie odmawia, jeśli są ku temu obiektywne podstawy. Jesteśmy przekonani, że takie warunki u Pani Wiesławy zaistniały, jeżeli, jak Pani informuje, jest jedyną żywicielką sześciorga dzieci, przy czym mąż Pani jest chory i z tego powodu nie może pracować. Wstyd proszę przelamać i udać się pod adresem wskazanym przez Redakcję. Życzymy Pani powodzenia i osiągnięcia pomocy w rzeczywiste trudnych, niecodziennych warunkach życia.

Mgr JÓZEF MIŁASZEWICZ



CHCĘ BYĆ PIĘKNA

MASECZKI KOSMETYCZNE W LECIE

W okresie letnim najłatwiej o wszelkie naturalne środki do pielęgnacji cery. Mamy bowiem wiele świeżych owoców i jarzyn. Podam więc Czytelniczkom kilka przepisów prostych i łatwych w wykonaniu maseczek, których stosowanie bardzo korzystnie wpływa na cerę.

Maseczka z ogórków działa wydelikatniająco i wybielająco na skórę. Do maseczki tej wystarczą łupiny z świeżo obranego ogórka. Twarz myjemy ciepłą wodą, pod oczami lekko natłuszczamy, następnie okładamy całą, wewnętrzną powierzchnią łupiny ogórka. Pozostawiamy na twarzy ten „okład” przez 15

minut, po czym zdejmujemy i twarzy nie myjemy, ani nie obsuszamy, by nie ścierać resztki soku ogórkowego. Maseczkę taką możemy stosować przez całe lato, co drugi — trzeci dzień.

Maseczka ze świeżej marchwi jest nie tylko odżywcza dla skóry, ale również lekko skórę zabarwia na odcień jasnej opalenizny. U osób mających piegi, a trudno opalających się, stosowanie jej jest równoznaczne z „ukrywaniem” piegów. Opłukane dwie, trzy marchewki ucieramy na tarce, otrzymaną miazgę rozsmarowujemy na kawałkach płótna i kładziemy na twarz świeżo umytą na okres pół godziny. Maseczkę tę stosować można nawet codziennie.

Maseczka z truskawek. Dwie lub trzy spore truskawki rozgniatamy widelcem na gładką masę dodając jedną łyżeczkę śmietanki. Tym „kremem” pokrywamy twarz na 20 minut po czym zmywamy dobrze ciepłą wodą, a na koniec spłukujemy zimną wodą. Truskawkową maseczkę stosować można 1—2 razy w tygodniu. Zamiast truskawek można wziąć morele, lub brzoskwinie (po odarcie ze skórki). Poziomek nie radzę, gdyż często wywołują wysypki uczuleniowe... Truskawkowa maseczka wydelikatnia skórę, wygładza zmarszczki i przeciwdziała błyszczeniu się twarzy.

BEATA

ROZMOWY Z CZYTELNIKAMI

Czternastoletniej „Baśce“ z Wałbrzycha — dziękujemy za pozdrowienia i życzenia dalszego powodzenia w pracy. Kioskarce w pobliżu kościoła proszę przypomnieć, że jej obowiązkiem jest sprzedawać wszystkie tygodniki bez najmniejszych uwag, chyba że od pierwszego ma zamiar przenieść się do innej pracy. To nawet nieetycznie — brać pieniądze za wykonywanie pracy, a przy tym nie wywiązywać się z niej.

Pani Michalinie K. przypominamy, że okres pławienia czarownic i zapalonych stosów inkwizycyjnych należy do przeszłości i że obecnie żyjemy w 1962 roku. Proszę się ocknąć.

WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW
PROSIMY O OCENĘ NASZEGO TY-
GODNIKA. OPISZCIE KTÓRYŚ Z NU-
MERÓW, PISZĄC ZE TEN A TEN
ARTYKUŁ WAM SIĘ PODOBAŁ, ZAŚ
INNY NIE. PRZYŚLIJCIE TAKI OPI-
SANY NUMER, WZGLĘDNIIE UWAGI
NA KARTCE DO REDAKCJI. TO NAM
I WAM POMOŻE. REDAKCJA ZO-
RIENTUJE SIĘ — CO CHCIELIBY
NASI CZYTELNICZY WIDZIEĆ W „RO-
DZINIE“.

Anekdoty

— Chciałbym nabyć kompletny ryszunek — zwraca się myśliwy do sprzedawcy w domu towarowym.

— Proszę bardzo. Broń i naboje sprzedajemy na I piętrze, ubranie na II piętrze, a kuropaty i zające na parterze.

Przewodnik mówi do wycieczki zwiedzającej zamek:

— Oto w tej sali został zamordowany król.
— Przepraszam — odzywa się jeden z wycieczkowiczów — w ubiegłym roku mówił pan, że w tamtej.
— Tak, ale tamtą właśnie odnawiają.

Ktoś spytał Shaw'a:

— Jaki wiek kobiety uważa pan za zajmujący?

— Najbardziej zajmujący jest ten czterdziestoletni okres, kiedy kobieta ma 20 lat.

Na łódce młody człowiek mówi do damy:
— Czy pani wierzy, że wiosłowanie jest moją jedyną przyjemnością.
— Ach tak — odpowiada dama. — Wracajmy więc do brzegu.

Pewnego razu Shaw otrzymał z urzędu skarbowego ankietę. Jedno z licznych pytań ankiety brzmiało: kto jest współwłaścicielem interesu? Na pytanie to Shaw odpowiedział następująco: urząd skarbowy.

Milloner pyta kandydata do ręki swojej córki:

— Czy pan ożeniłby się z moją córką, gdyby nie miała posagu?

— Naturalnie — odpowiada młodzian.
— Wobec tego nie pozwalam na małżeństwo, nie zniosę bowiem kretyna w swoim domu.

Pewnego razu trzech podróżni zatrzymali się na noc w lesie. Okazało się, że mają tylko kawałek chleba. Postanowili, że chleb dostanie na śniadanie ten, który będzie miał najpiękniejszy sen.

Następnego dnia pierwszy mówi:
— Śniło mi się, że byłem w niebie.

Drugi na to:
— Mnie, że zostałem wtrącony do piekła.

Trzeci zaś:
— A mnie, że zjadłem chleb, bo tak myślałem: ten u Pana Boga za kolacji będzie, tamtego natomiast z piekła nie wypuszczą!... po przebudzeniu naprawdę zjadłem.

Pewien Szkot jechał do Londynu, aby przeprowadzić tam kurację. Na każdej stacji wyskakiwał z pociągu i biegł do kasy po bilet do następnej stacji. Zauważył to konduktor i pyta:

— Dokąd pan właściwie jedzie?

— Do Londynu.

— To dlaczego nie kupił pań biletu od razu do Londynu, tylko od stacji do stacji?

— Widzi pan — wyjaśnia Szkot — jestem bardzo ciężko chory na serce i mogę nie dojechać, więc po co wydawać pieniądze na cały bilet.

WYŻSZE SEMINARIUM DUCHOWNE

WARSZAWA ul. Szwoleżerów 4

PRZYJMUJE KANDYDATÓW DO STANU DUCHOWNEGO.

Ci, którzy pragną poświęcić się służbie Bożej w Kościele Polskokatolickim, winni przestać pod adresem Kurii Biskupiej w Warszawie, ul. Wilcza 31, podanie dotychczas doń:

- życiorys,
- metrykę urodzenia,
- świadectwo szkolne,
- świadectwo lekarskie,
- trzy fotografie.

KRZYŻÓWKA

POZIOMO: 1) Część naboju, 4) Bożek, 7) Termin sportowy, 8) Nazwa wewnętrznego ogrodu, 9) Zmechanizowany człowiek, 10) Ma każdy garnek, 11) Może być pieniędzy, 14) Opera Moniuszki, 17) Używana do fotografii, 20) Zbiór map, 23) Używany do pieczęci, 24) Zimowy powóz, 25) Rybie gody, 26) Część nazwy miasta w Pld. Ameryce, 27) Kamealny zespół orkiestrowy, 28) Taniec.

PIONOWO: 1) Skała, 2) Używane w kuchni, 3) Jedna z elektrod, 4) Inaczej sufit, 5) Może być cygański, 6) Kwiat, 12) Zwierzę domowe, 13) Płasy, 15) Głos żeński, 16) Imię żeńskie, 17) Miasto w woj. kieleckim, 18) Szata liturgiczna, 19) Pogotowie, 20) Gra w teatrze, 21) Zgiełk, 22) Dolna kończyzna.

SIERPIEŃ

N	5	VIII po Zesł. Ducha Św., św. Oswalda
P	6	Urocz. Przemienienia Pańskiego, św. Dominika
W	7	św. Kajetana, św. Donata
S	8	św. Cyriaka, św. Emiliana
C	9	św. Jana, św. Romana
P	10	św. Wawrzyńca, św. Bogdana
S	11	św. Zuzanny, św. Włodzimierza

Wydawca: Wydawnictwo Literatury Religijnej. Redaguje Kolegium. Redaktor Naczelny — Ks. mgr Tadeusz Gorgoń. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Wilcza 31. Tel. 8-87-84; 21-74-88. Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane są w terminie do dnia 15 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty przez: Urzędy Pocztowe, listonoszy oraz Oddziały i Delegatury „Ruchu”. Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto PKO Nr 1-14-147290 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Srebrna 12, Na odwrocie blankietu należy podać tytuł zamawianego czasopisma, czasokres prenumeraty oraz ilość zamawianych egzemplarzy. Cena prenumeraty: kwartalnie — zł 26, półrocznie — zł 52, rocznie — zł 104. Przedpłaty na tę prenumeratę przyjmuje na okresy kwartalne, półroczne i roczne Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch” w Warszawie, ul. Wilcza 46 za pośrednictwem PKO Warszawa. Konto Nr 1-14-147290. Czytelnicy poza granicami kraju mogą zamawiać tygodnik „Rodzina” za pośrednictwem: Przedsiębiorstwa Eksportu i Importu „Ruch” Warszawa, ul. Wilcza 46; prenumerata roczna dla Europy wynosi: 7 \$, 19.70 DM, 23,40 NF 1.13.6 L; prenumerata roczna dla St. Zjednoczonych i Kanady 7 \$; prenumerata roczna dla Australii 2.10.5 LA i 20.4 LE.

KOŚCIÓŁ POLSKOKATOLICKI

CZY WIESZ, ŻE:
Kościół Polskokatolicki jest Kościołem Katolickim. Posiada wszelkie znamiona Kościoła Chrystusowego.
DLACZEGO POLSKI I KATOLICKI?
Kościół Polskokatolicki prowadzi wiernych do Boga i posługuje się w liturgii zrozumiałym dla nich językiem polskim. Zachowując naukę Jezusa Chrystusa (zawartą w Piśmie św. Tradycji oraz orzeczeniach i u-

chwatach Soborów Powszechnych), cześć Najświętszą Maryję Pannę i Świętych Pańskich, uczy swych wiernych miłości do Boga, szacunku dla bliźnich i ukończenia Ojczyzny.

KOŚCIÓŁ POLSKOKATOLICKI JEST KOŚCIOŁEM APOSTOLSKIM:

Biskupi Kościoła Polskokatolickiego mają ważną sukcesję apostolską, której nie kwestionują nawet najbardziej zagorzali i fanatyczni duchowni rzymskokatolicy. Z ważności i prawdziwości sakry biskupiej w Kościele Polskokatolickim wypływa ważność kapłaństwa.

Msza św. w języku polskim i Sakramenty św. są tak samo ważne jak Msza św. odprawiana w języku łacińskim, greckim lub koptyjskim.

NA CZYM POLEGA ROŻNICA?
Różnica polega na tym, że Kościół Polskokatolicki odrzuca dogmat o nieomyślności papieża i prymacie jurysdykcyjnym biskupów rzymskich. Tylko Bóg jest nieomylny. Człowiek, również papież, może się mylić.

PODZIAŁ KOŚCIOŁA
Kościół Polskokatolicki w PRL dzieli się pod względem administracyjnym na:

a) Archidiecezję Warszawską.

b) Diecezję Wrocławską,
c) Diecezję Krakowską.

KIEROWNICTWO KOŚCIOŁA

Najwyższym zwierzchnikiem Kościoła Polskokatolickiego jest Prymas — J. Em. Ks. Biskup Prof. Dr Maksymilian Rode, rezydujący w Warszawie.
STOSUNEK DO RUCHU EKUMENICZNEGO:

Kościół Polskokatolicki jest członkiem Światowej Rady Kościołów Chrześcijańskich, która skupia w swych szeregach ponad 400 milionów chrześcijan, a więc tyle, ile liczy Kościół rzymskokatolicki razem z obrządkami nierzymskimi na całym świecie.



Podróż balonem

KĄCIK FILMOWY

Z górą 80 lat temu Jules Verne napisał sensacyjno-fantastyczną książkę „W 80 dni dookoła świata”. W 1956 r. — Mike Todd na podstawie tej powieści wyprodukował film pod tym samym tytułem i mimo, że reżyserem tego filmu jest Michael Anderson, musi on pozostać w cieniu wielkiej indywidualności Mike Todd'a, który jest właściwym twórcą filmu. Tylko M. Toddowi możemy zawdzięczać to, że oprócz czworga wielkich aktorów, na których w zasadzie opiera się cała akcja filmu: Dawid Niven — gra P. Fogga, komik Cantonflasa — gra służącego Passepartout, Shizley Mac Leinc — gra księżniczkę Aonda'e oraz Robert Newton — gra inspektora Fixa, widzimy tylko w krótkich epizodach całą plejadę gwiazd europejskich i amerykańskich takich jak: Charles Bayer, Martine Carol, Marlena Dietrich, Luis Miquel, Daminquinin, Fernandel, Treward Howard, Buster Keaton, Frank Sinatra i inni.

M. Todd zrobił film gigant, Gigant pod każdym względem. Przez cztery godziny oglądamy na szerokim ekranie w naturalnych barwach, przygody czworga bohaterów w otoczeniu krajobrazu niemal całego świata, tysięcy statystów ubranych w najprzeróżniejsze kostiumy, a więc od dystygowanych angielskich gentlemanów, poprzez paryżan, toreadorów, marynarzy, Arabów, Chińczyków w oryginalnych kimonach, maharadzów, Hindusów, Indian, widzimy niemal kostiumy całej

ludności świata. Jesteśmy świadkami: podróży morskich, balonowych, kolejowych, konnych, na słońcach itp. Śledzimy z zapartym tchem: korridę w Hiszpanii, wykradzenie hinduskiej księżniczki, jazdę na słońcu poprzez dżunglę, napad Indian na pociąg, kampanię wyborczą w Stanach Zjednoczonych, występy kabaretowe, bijatyki w knajpach, a przy tym wszystkim bawimy się świetnie i śmiejemy się serdecznie — szczególnie z przezabawnego komika meksykańskiego Cantonflasa w roli Passepartout.

„W 80 dni dookoła świata” nawet teraz kiedy kosmonauci pokonują tę przestrzeń w zaledwie kilka minut, oglądany jest z zapartym oddechem i przez młodzież i przez dorosłych, choćby dlatego, że w przeciągu czterech godzin mamy możliwość jak w fotoplastykonie oglądać niemal cały świat, tak, w fotoplastykonie, bo film ten to naprawdę bardzo dobrze zrobiony ruchomy, barwny fotoplastykon, zaprawiony dużą porcją humoru.

Na duże uznanie zasługuje tu praca operatora Lionela Linden, który wykonał zdjęcia do filmu, są dobre i inteligentnie dobrane do formy opowiadającej filmu. Muzyka Wictora Yonnga dała nam melodię, którą wszyscy po wyjściu z kina nuca.

Wszystkim Czytelnikom i tym młodszym i tym starszym gorąco polecam obejrzenie tego filmu.

Janusz Kreczmański

Passepartout jako toreador



Fogg i Passepartout wybierają się w podróż

